

The background of the entire cover is a dramatic, high-contrast image of a sunset or sunrise. The sky is filled with vibrant orange and yellow clouds, with a darker, more turbulent upper portion. In the foreground, the dark silhouette of a knight on horseback is visible. The knight is wearing a full suit of armor and a surcoat, and is holding a long lance or spear aloft in his right hand. The horse is also in silhouette, standing on a base. The overall mood is epic and heroic.

KUŹNIA MĘSTWA

KSIĘGA 4 KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY

MORGAN RICE

Morgan Rice
Kuźnia Męstwa
Серия «Królowie I
Czarnoksiężnicy», книга 4

*http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696183
Kuźnia Męstwa (Księga 4 Królowie I Czarnoksiężnicy):
ISBN 9781632914842*

Аннотация

Przepełniona akcją powieść z gatunku fantasy, która z pewnością zadowoli zarówno fanów dotychczasowej twórczości Morgan Rice, jak i entuzjastów powieści takich jak The Inheritance Cycle Christophera Paolini.. Najnowsza powieść Rice wciążnie bez reszty wszystkich miłośników literatury dla młodzieży. The Wanderer, A Literary Journal (dotyczy Powrotu Smoków) Bestsellerowa seria, z ponad czterystoma pięciogwiazdkowymi recenzjami na Amazonie. KUŹNIA MĘSTWA to czwarta część bestsellerowej serii fantasy Morgan Rice, KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY (pierwsza część, POWRÓT SMOKÓW, jest do ściągnięcia za darmo) ! W KUŹNI MĘSTWA Kyra powoli wraca znad krawędzi śmierci, uzdrowiona przez miłość Kyla i tajemniczą moc. Jego poświęcenie wskrzesza jej siły, lecz cena tego jest wysoka. Gdy wreszcie udaje jej się przekonać Alwę, by zdradził tajemnicę jej rodu, dowiaduje się wszystkiego o swej matce. Otrzymawszy szansę na dotarcie do źródła

swej mocy, musi dokonać wyboru: kontynuować szkolenie czy udać się na ratunek swemu ojcu, który osadzony w lochach stolicy, czeka na egzekucję. Aidan, z Papugiem u swego boku, także stara się uratować ojca, uwięzionego w pogrążonej w wojnie stolicy. W tym samym czasie Merk, zaskoczony swoim odkryciem, staje do walki przeciwko armii trolli. Gdy Wieża Ur zostaje otoczona, razem z innymi Obserwatorami musi zrobić wszystko, by ochronić najcenniejszą relikwię swego narodu. Dierdre staje w obliczu śmierci, gdy potężna armia Pandezji przeprowadza inwazję na Ur. Kiedy jej ukochane miasto wali się w gruzy, ona musi zdecydować, czy uciec, czy zaryzykować życie w heroicznym czynie. Alec tymczasem przemierza bezkresne wody ze swoim tajemniczym towarzyszem, żeglując do miejsca, w którym nigdy wcześniej nie był, do krainy bardziej nawet tajemniczej, od nieznanego przy sterach. To tam ma poznać swoje przeznaczenie i odkryć czym jest ostatnia nadzieja Escalonu. **KUŹNIA MĘSTWA** przeniesie cię do świata rycerzy i wojowników, królów i namiestników, honoru i męstwa, magii, przeznaczenia, potworów i smoków. To magiczna opowieść o miłości i złamanym sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. To powieść fantasy w najlepszym wydaniu, która będzie żyć w tobie jeszcze długo po jej przeczytaniu, która wciągnie każdego czytelnika, bez względu na jego płeć czy wiek. Piąta część serii **KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY** ukaże się już wkrótce. Dobra wiadomość dla wszystkich tych, którzy po przeczytaniu całej serii Kręgu Czarnoksiężnika wciąż pragną więcej. Książki Morgan Rice to zapowiedź kolejnej genialnej serii fantasy, która zabiera nas w podróż do świata trolli i smoków, męstwa, honoru, odwagi, magii i wiary w swoje przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć nietuzinkowych bohaterów, których dopingujemy na każdej stronie książki.. Obowiązkowa pozycja w bibliotece każdego

miłośnika gatunku fantasy. Books and Movie Reviews, Roberto Mattos (dotyczy Powrotu Smoków)

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	16
ROZDZIAŁ DRUGI	25
ROZDZIAŁ TRZECI	35
ROZDZIAŁ CZWARTY	44
ROZDZIAŁ PIĄTY	49
ROZDZIAŁ SZÓSTY	52
ROZDZIAŁ SIÓDMY	57
ROZDZIAŁ ÓSMY	66
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	71
Конец ознакомительного фрагмента.	75

Morgan Rice

Kuźnia Męstwa (Księga 4 Królowie I Czarnoksiężnicy)

Morgan Rice

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Wampirzych Dzienników), ARENA ONE (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Kraż Czarnoksiężnika) oraz POWRÓT SMOKÓW (Księga 1 Królowie i Czarnoksiężnicy) dostępne są nieodpłatnie.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej

stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane recenzje Morgan Rice

"Dobra wiadomość dla wszystkich tych, którzy po przeczytaniu całej serii KREGU CZARNOKSIEŻNIKA wciąż pragną więcej. POWRÓT SMOKÓW Morgan Rice to zapowiedź kolejnej genialnej serii fantasy, która zabiera nas w podróż do świata trolli i smoków, męstwa, honoru, odwagi, magii i wiary w swoje przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć nietuzinkowych bohaterów, których dopingujemy na każdej stronie książki. ... Obowiązkowa pozycja w biblioteczkę każdego miłośnika gatunku fantasy."

--Books and Movie Reviews

Roberto Mattos

"Powrót Smoków to ogromny sukces – od samego początku Rewelacyjna powieść fantasy ... Zaczyna się tak, jak powinna – od opisu zmagania jednej bohaterki, by potem, z każdą kolejną stroną, wprowadzać nas coraz głębiej w świat rycerzy, smoków, magii, potworów i przeznaczenia. ... W tej książce znajdziesz wszystko to, co potrzebne jest dobrej fantasy,

od wojowników i bitew, po konfrontację z samym sobą... Szczególnie polecana dla czytelników, którzy lubią przygody młodych, zdeterminowanych i wiarygodnych bohaterów."

--*Midwest Book Review*

D. Donovan, eBook Reviewer

"Przepełniona akcją powieść z gatunku fantasy, która z pewnością zadowoli zarówno fanów dotychczasowej twórczości Morgan Rice, jak i entuzjastów powieści takich jak *The Inheritance Cycle* Christophera Paolini.... Najnowsza powieść Rice wciągnie bez reszty wszystkich miłośników literatury dla młodzieży."

--*The Wanderer, A Literary Journal* (dotyczy *Rise of the Dragons*)

"Porywająca powieść fantasy, w której fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. *Wyprawa Bohaterów* opowiada o odwadze i życiowej misji, której realizacja prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla tych, którzy szukają ekscytującej opowieści fantasy, pełnej wyrazistych bohaterów, środków przekazu i akcji. Książka w piękny sposób opisuje dorastanie Thora i jego przemianę z narwanego chłopca w młodego mężczyznę, który musi stawić czoła niebezpiecznym wyzwaniom... To zaledwie początek czegoś, co zapowiada się na cykl epickiej serii dla młodzieży."

--*Midwest Book Review* (*D. Donovan, eBook Reviewer*)

"KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA zawiera wszystkie elementy niezbędne do osiągnięcia natychmiastowego sukcesu: fabułę,

zmowy i spiski, tajemnicę, dzielnych rycerzy, rozwijające się bujnie związki uczuciowe i złamane serca, podstęp i zdradę. Zapewni rozrywkę na wiele godzin i zadowoli czytelników w każdym wieku. Uważana za obowiązkową pozycję w biblioteczkę każdego czytelnika fantasy.”

--Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

“Jest to pierwsza część sagi fantasy „Krag Czarnoksiężnika” (obecnie złożonej z czternastu części), w której Rice przedstawia czytelnikom losy 14-letniego Thorgrina "Thora" McLeoda, którego największym marzeniem jest dołączenie do Srebrnego Legionu, elitarnego oddziału królewskiej armii.... Pisarstwo Rice jest porządne, a przesłanie intrygujące.”

--Publishers Weekly

Książki Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY
POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)
POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)
POTĘGA HONORU (CZEŚĆ #3)
KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)

KRAG CZARNOKSIEŻNIKA
WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)
LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)
NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ #1)
ARENA TWO (CZEŚĆ #2)

WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)
KOCHANY (CZEŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)
ZARECZONA (CZEŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



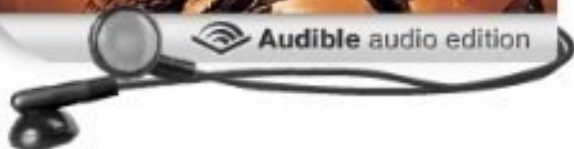
MORGAN RICE

RISE OF THE DRAGONS

KINGS AND NOBILITY IN A NEW SET



Audible audio edition



Słuchaj serii KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY na audiobooku!

Chcesz dostać książki za darmo?

Dołącz do listy mailingowej Morgan Rice, a otrzymasz 4 bezpłatne książki, 2 darmowe mapy, 1 darmową aplikację i ekskluzywne upominki. Zarejestruj się na stronie: www.morganricebooks.com

Copyright © 2015 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejszy e-book przeznaczony jest wyłącznie do użytku osobistego. Niniejszy e-book nie może być odsprzedany lub odstąpiony innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz

dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla ciebie, powinienes ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowanie ciężkiej pracy autora.

Niniejsza książka jest utworem literackim. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do imion czy cech prawdziwych osób jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket image Copyright St. Nick © Shutterstock.com

"Męstwo ma większy swój udział, aniżeli liczebność"

Flavius Vegetius Renatus

(IV wiek)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Drzwi celi zatrzasnęły się, a Duncan otworzył oczy, choć zaraz tego pożałował. Głowa pulsowała mu boleśnie, jednego oka nie był w stanie otworzyć, trudno było mu otrząsnąć się z głębokiego snu. Ostry ból przeszył jego sprawne oko, gdy oparł się o zimną, twardą powierzchnię. Kamień. Leżał na zimnej, zawilgłej, kamiennej podłodze. Spróbował się podnieść, jednak poczuł opór i usłyszał brzęk, gdy tylko poruszył rękoma i nogami. No tak, łańcuchy. Był w lochu.

Był więźniem.

Otworzył oczy szerzej na dźwięk miarowego stukotu obcasów, dźwięczącego gdzieś w ciemności. Starał się zorientować skąd dochodzi. Było ciemno, kamienne ściany były ledwo oświetlone migającymi w oddali pochodniami i wąskim promieniem słonecznego światła, które wpadało przez okienko znajdujące się zbyt wysoko, by je dostrzec. Błade światło sączyło się z góry prostym, samotnym promieniem, jakby z innego, odległego świata. W oddali słyszał kapanie wody i szuranie butów, był nawet w stanie dostrzec krańce swojej celi. Była olbrzymia, jej kamienne ściany sklepiały się ku górze, tworząc masę zakamarków, które niknęły w mroku.

Wiedział gdzie się znajduje z dawnych lat spędzonych w stolicy: w pałacowym lochu. To tutaj zamykano najgorszych zbrodniarzy królestwa, jego największych wrogów, by gnili tu

po kraniec swych dni – lub czekali na egzekucję. Sam, służąc u starego Króla, działając w jego imieniu, wtrącił tu wiele osób. Z tego miejsca, jak doskonale wiedział, nikt już nie wychodził.

Starał się poruszyć, jednak kajdany trzymały go w miejscu, wrzynając się w jego poobijane i skrwawione nadgarstki i stopy, które zresztą doskwierały mu najmniej. Całe ciało pulsowało mu bólem tak ogłuszającym, że ledwie był w stanie dojść, co boli go najbardziej. Czuł jakby spadło na niego tysiąc kijów, jakby przegalopowała po nim armia koni. Bolało przy każdym oddechu, potrząsnął głową, starając się odpędzić to uczucie. Bez skutku.

Gdy zamknął powieki i oblizał spierzchnięte usta, przed oczyma stanęły mu obrazy ostatnich zdarzeń. Zasadzka. Czy to zdarzyło się wczoraj? Może tydzień temu? Nie był w stanie powiedzieć. Został zdradzony, otoczony, zwabiony fałszywymi obietnicami zawarcia układu. Zaufał Tarnisowi, który także został zabity na jego oczach.

Przypomniął sobie swoich ludzi, rzucających broń na jego rozkaz; przypomniął sobie jak go schwycili; co gorsza, przypomniął sobie jak zamordowali jego synów.

Kręcił głową raz po raz, łkając w udręce, starając się bezskutecznie wymazać te obrazy z umysłu. Siedział z głową w dłoniach, z łokciami na kolanach i tylko jęczał na samą myśl. Jak mógł być tak głupi? Kavos ostrzegał go, on zaś nie posłuchał jego rad, zagłuszał je naiwny optymizm. Myślał, że tym razem będzie inaczej, że mógł zaufać szlachcie. I poprowadził swych

ludzi w pułapkę, w sam środek gniazda zmij.

To wyrzucał sobie najstraszliwiej, bardziej niż był w stanie wyrazić słowami. Jedyne, czego żałował, to że nadal był żywy, że nie umarł tam razem ze swymi synami, z wszystkimi ludźmi, których zawiódł.

Kroki słysząc było bliżej, więc Duncan podniósł głowę i zmrużył oczy, próbując dostrzec coś w ciemności. Z mroku wyłoniła się sylwetka mężczyzny blokująca promień światła i powoli zbliżyła się na odległość wyciągnięcia ręki. Duncan wreszcie dostrzegł jego twarz i aż wzdrygnął się, gdy ją rozpoznał. Mężczyzna nosił charakterystyczny ubiór arystokraty, jego twarz miała napuszony wyraz, ten sam z którym błagał Duncana o koronę, gdy starał się po raz pierwszy zdradzić swego ojca. Enis. Syn Tarnisa.

Kłęknał przy nim na jednym kolanie z pysznym, zwycięskim uśmiechem na ustach, prezentując charakterystyczną, długą, pionową bliznę na uchu, gdy mierzył go swoimi rozbieganymi, pustymi oczyma. Duncana poczuł jak zalewa go fala obrzydzenia i paląca chęć zemsty. Zaciśnął pięści, chcąc rzucić się na młodzieńca, rozedrzeć go na strzępy własnymi rękoma. To on był odpowiedzialny za śmierć jego synów, za niewolę jego ludzi. Jedyne kajdany ratowały go w tej chwili od niechybnej śmierci.

– Żelazo czyni człowieka tak bezsilnym – stwierdził Enis z uśmiechem – Przecież klęczę tu, zaraz obok, a nie jesteś w stanie mnie tknąć.

Duncan odpowiedział mu wściekłym spojrzeniem, chciał

się odezwać, jednak był zbyt wyczerpany, by wydusić choć słowo. Gardło miał zbyt suche, wargi zbyt spierzchnięte, musiał oszczędzać siły. Zastanawiał się, ile czasu upłynęło odkąd ostatni raz miał wodę w ustach, jak długo był już tu zamknięty. Z drugiej strony ten szczur nie zasługiwał na jego wysiłek.

Przyszedł tu z konkretnego powodu, widocznie czegoś potrzebował. Duncan jednak nie robił sobie nadziei: wiedział, że cokolwiek by to nie było, jego i tak wkrótce pošlą go na szafot. Zresztą tego właśnie chciał. Wraz ze śmiercią synów i uwięzieniem jego ludzi życie straciło dla niego wartość, w żaden inny sposób nie był w stanie uciec od przytłaczającej winy.

– Ciekaw jestem – powiedział Enis głosem wprawnego oszusta – jakie to uczucie? Jak to jest wiedzieć, że zdradziło się wszystkich swoich bliskich, wszystkich, którzy ci zaufali?

Duncan poczuł, jak znów rozpala go gniew. Nie był w stanie dłużej milczeć, jakimś sposobem przywołał wystarczająco sił, by się odezwać.

– Nikogo nie zdradziłem – udało mu się wydusić głębokim, schrypłym głosem.

– Czyżby? – odrzekł mu Enis, wyglądał jakby bawiła go ta rozmowa – Przecież zaufali ci. A ty poprowadziłeś ich prosto w pułapkę. Odebrałeś im ostatnią rzecz, którą mieli: ich dumę i honor.

Duncan sapał wściekle z każdym oddechem.

– Nie – odpowiedział wreszcie po długiej, ciężkiej ciszy – To ty odebrałeś im wszystko. Ja tylko zaufałem twojemu ojcu, tak

jak on zaufał tobie.

– Zaufanie – roześmiał się Enis – co za naiwny pomysł. Czyżbyś naprawdę ryzykował życie swoich ludzi tylko na podstawie tego, że komuś zaufałeś?

Roześmiał się znowu na widok wściekającego się Duncana.

– Prawdziwy przywódca nie może pozwolić sobie tak po prostu komuś ufać – ciągnął dalej – Przywódca musi wątpić. Takie jest jego zadanie, być sceptycznym dla dobra swoich ludzi. Wojskowy dowódca musi ochronić swoich ludzi od śmierci w boju – tak jak prawdziwy przywódca musi ochronić ich od zdrady. Żaden z ciebie przywódca. Zawiodłeś ich wszystkich.

Duncan wziął głęboki oddech. Nie był w stanie odpędzić od siebie myśli, że Enis ma rację, jakkolwiek trudno było mu to przyznać. Zawiodł swoich ludzi i było to najgorsze, co kiedykolwiek w życiu czuł.

– To dlatego tu przyszedłeś? – powiedział wreszcie – By pysznić się swoim podstępem?

Chłopak wykrzywił się szpetnym, złym uśmiechem.

– Teraz jesteś moim poddanym – odrzekł – A ja jestem twoim Królem. Chodzę gdzie mi się podoba, kiedy tylko chcę, z dowolnego powodu, lub nawet bez powodu. Może po prostu sprawia mi przyjemność patrzeć jak gnijesz w tym lochu, zupełnie złamany.

Duncan wziął kilka bolesnych oddechów, ledwie był w stanie kontrolować swój gniew. Chciał zrobić krzywdę temu człowiekowi bardziej niż komukolwiek w swoim życiu.

– Powiedz mi w zamian – powiedział, chcąc odegrać się na nim – Jak to jest zamordować własnego ojca?

Spojrzenie Enisa stwardniało.

– Nawet nie w połowie tak dobrze, jak widzieć ciebie dyndającego na szubienicy – odparł.

– Więc wydaj rozkaz, na co czekasz? – powiedział Duncan, naprawdę tego chciał.

Lecz Enis tylko uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– To byłoby zbyt proste – odpowiedział – Chce jeszcze oglądać twoje męki. Chcę, byś najpierw zobaczył, co stanie się z twoją ukochaną ojczyzną. Twoi synowie nie żyją. Twoi oficerowie również. Anvin, Durge i wszyscy twoi ludzie polegli przy Bramie Południowej. Miliony Pandezjan znów najechało nasze ziemie.

Serce Duncana zamarło na te słowa. Starał się myśleć, że to wszystko kłamstwa, jednak czuł, że mówi prawdę. Czuł, jakby z każdym słowem zapadał się coraz niżej pod ziemię.

– Wszyscy twoi ludzie trafili do lochów, a Ur ostrzeliwane jest z morza. Widzisz więc, wszystkie twoje starania obróciły się wniwecz. Escalon jest w znacznie gorszej pozycji niż wcześniej, i to wyłącznie twoja wina.

Duncanem wstrząsnął gniew.

– Jak sądzisz – spytał – ile czasu minie zanim ci oprawcy zwrócą się przeciwko tobie? Naprawdę sądzisz, że ciebie to minie, że nie dotknie cię gniew Pandezji? Że pozwolą ci pozostać Królem? Rządzić tak, jak rządził twój ojciec?

Enis uśmiechnął się szeroko i pewnie.

– *Wiem, że tak właśnie będzie* – powiedział.

Pochylił się tak blisko, że Duncan poczuł jego nieświeży oddech.

– Bo widzisz, złożyłem im ofertę. Ofertę tak wyjątkową, że moja władza jest już pewna, ofertę, której nie mogą pozwolić sobie odrzucić.

Duncan nie ważył się nawet spytać co to za oferta, jednak Enis tylko uśmiechnął się szeroko i zbliżył jeszcze bardziej.

– Oferowałem im twoją córkę – wyszeptał.

Oczy Duncana zrobiły się wielkie niczym spodki.

– Naprawdę sądziłeś, że będziesz w stanie ukryć ją przede mną? – Enis ciągnął dalej – Z każdą chwilą Pandezjanie coraz bardziej się do niej zbliżają. I ten dar sprawi, że moje miejsce u władzy będzie pewne.

Kajdany szczęknęły, metaliczny dźwięk odbił się echem po ścianach lochu, gdy Duncan szarpał się z całej siły, chcąc wyrwać się i rzucić na Enisa, zalany falą rozpaczyny większą, niż był w stanie wytrzymać.

– Dlaczego tu przyszedłeś? – spytał wreszcie złamanym głosem, nagle czując się niczym starzec – Czego ode mnie chcesz?

Enis skrzywił się w uśmiechu. Zamilkł na dłuższą chwilę, po czym wreszcie westchnął.

– Mój ojciec musiał chcieć czegoś od ciebie – powiedział wolno – Przecież nie wezwałby cię, nie negocjowałby dla

ciebie pokoju nie chcąc nic w zamian. Zaoferował ci wspaniałe zwycięstwo nad Pandezjanami – jednak w zamian musiał o coś poprosić. O co? Czego od ciebie chciał? Jaki sekret ukrywał?

Duncan odpowiedział spokojnym spojrzeniem, nic już go nie obchodziło.

– Rzeczywiście, twój ojciec poprosił mnie o coś – powiedział mściwie – Jego prośba była honorowa i wielkoduszna. I tylko mnie był w stanie powierzyć ten sekret. Mnie, nie swojemu synowi. Teraz już wiem dlaczego.

Enis skrzywił się i zaczerwienił.

– Jeśli moi ludzie oddali za coś życie – Duncan ciągnął dalej – to właśnie za honor i lojalność, której nie mam zamiaru zbrukać. Co oznacza, że nigdy nie poznasz tego sekretu.

Enis oblał się purpurą, Duncanowi sprawiło przyjemność oglądać go w gniewie.

– Naprawdę będziesz strzegł sekretów mojego ojca, człowieka, który zdradził ciebie i wszystkich twoich ludzi?

– To *ty* mnie zdradziłeś – poprawił go Duncan – nie on. On był dobrym człowiekiem, któremu zdarzył się wielki błąd. Jednak ty jesteś niczym. Ledwie cieniem swojego ojca.

Enis skrzywił się. Powoli podniósł się na nogi, pochylił nad Duncanem i splunął obok.

– Sprawię, że powiesz mi co chcę – stwierdził – Co, lub kogo, starał się ukryć. Jeśli tak uczynisz, okażę ci łaskę i puszcze cię wolno. Jeśli tego nie zrobisz, nie tylko osobiście zaprowadzę cię na szubienicę, ale sprawię też, że będziesz

umierał w najstraszliwszych męczarniach . Wybór należy do ciebie, nie unikniesz go. Zastanów się dobrze, Duncanie.

Po tych słowach odwrócił się, by odejść, jednak Duncan krzyknął za nim.

– Możesz poznać moją odpowiedź od razu – odrzekł.

Enis odwrócił się z grymasem satysfakcji na twarzy.

– Wybieram śmierć – odpowiedział, i po raz pierwszy udało mu się uśmiechnąć – To niewielka cena za honor.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dierdre otarła pot z czoła, pochylając się nad swoim kowadłem, by nagle podskoczyć, gdy uderzył ją dźwięk głośny niczym grzmot. Był to wyjątkowy odgłos, który sprawił, że drgnął każdy nerw w jej ciele, dźwięk głośniejszy niż stukot wszystkich młotów o kowadła. Ludzie wokół niej także przerwali pracę, odłożyli niedokończone bronie i spojrzeli po sobie zdumieni.

Odgłos zadźwięczał znowu, niczym trzask błyskawicy, całkiem jakby ziemia otwierała się pod ich stopami.

I znowu.

Wreszcie zorientowała się co to: żelazne dzwony. Biły raz po raz, idąc echem przez całe miasto, wzbudzając ukłucia strachu w jej sercu z każdym uderzeniem. Biły na alarm, ostrzegały przed zagrożeniem. Wzywały do walki.

Nagle cały lud Ur skoczył na nogi od swoich stołów, wszyscy ruszyli do wyjścia, chcąc zobaczyć co się dzieje. Dierdre biegła na przedzie, dołączyły do niej jej dziewczyny oraz Marco z przyjaciółmi, wszyscy wypadli na zewnątrz, na ulice, gdzie kłębili się już zaniepokojeni mieszkańcy; ludzie spieszyli w stronę kanałów, by widzieć wszystko lepiej. Ona rozglądała się wokół, sądziła, że taki alarm może oznaczać wszystko, spodziewała się zobaczyć swoje miasto pełne statków i żołnierzy. Jednak nic takiego nie zobaczyła.

Nic nie rozumiejąc, skierowała się w stronę olbrzymich wież strażniczych stojących na brzegu Morza Smutku, by zobaczyć, czy widać coś z wysoka.

– Dierdre!

Usłyszawszy swoje imię odwróciła się, by zobaczyć swojego ojca wraz z jego drużyną, oni też biegli w stronę wież, też chcieli wyrzucić w morze. Wszystkie cztery wieże były dziko na alarm; nic podobnego nigdy wcześniej jeszcze się nie wydarzyło, można było pomyśleć, że śmierć we własnej osobie przybywa do miasta.

Dołączyła wreszcie do ojca, pobiegli razem krętymi uliczkami, i skoczyli na kamienne schody, by wreszcie dotrzeć na szczyt murów miejskich nad brzegiem morza. Zatrzymała się tam bez ruchu, ogłuszona widokiem, który rozciągał się przed nią.

Wydawało jej się przez chwilę, że śni najgorszy koszmar swojego życia, coś, czego nigdy nie chciałaby zobaczyć na jawie: całe morze, po sam horyzont, pełne było czerni. Czarne okręty Pandezji płynęły tak blisko siebie, że ledwie widać było wodę, wydawały się zasłaniać cały świat. Co gorsza, wszystkie zdawały się kierować jedną wolą, wszystkie płynęły w stronę jej miasta.

Stała zupełnie sparaliżowana, spoglądając w oczy nadchodzącej śmierci. Nie było sposobu, w który mogliby obronić się przed flotą tych rozmiarów, na pewno nie kilkoma łańcuchami, nie przy użyciu kilku mieczy. Gdy pierwsze statki dotrą do kanałów być może uda się stłoczyć je w ciasnej przestrzeni, może uda się trochę opóźnić inwazję. Może nawet

zabijają kilkuset, a nawet tysiące żołnierzy.

Lecz na pewno nie miliony, które widziała przed sobą.

Poczuła nagle jakby jej serce pękało w pół, gdy odwróciła się i zobaczyła na twarzach jej ojca i jego żołnierzy taki sam wyraz cichej paniki. Ojciec starał się zachować mężną postawę przed swoimi ludźmi, jednak ona znała go zbyt dobrze. Była w stanie dostrzec błysk porażki w jego oczach, widziała jak gaśnie w nich światło nadziei. Wszyscy zdawali się rozumieć, że patrzą na swoją śmierć, na koniec ich wielkiego, starego miasta.

Obok niej stał Marco z przyjaciółmi, oni także zdjęci byli przerażeniem, jednak trzymali się mężnie, żaden z nich, trzeba było przyznać, nie zwrócił się do ucieczki. Rozejrzała się wśród morza twarzy w poszukiwaniu Aleca, jednak ku jej zdziwieniu nie mogła go nigdzie dojrzeć. Zastanawiała się gdzie mógł się podziać. Niemożliwe, by wybrał ucieczkę.

Nadal stała niewzruszenie, zaciskając tylko dłoń na mieczu. Wiedziała, że koniec jest bliski – nie zdawała sobie tylko sprawy, że czai się tuż za rogiem. Nie miała jednak zamiaru uciekać, już nigdy więcej.

Nagle ojciec zwrócił się do niej i złapał ją za ramiona w pośpiechu.

– Musisz opuścić miasto – zażądał.

Dierdre zobaczyła w jego oczach ojcowską miłość, mocno ją to wzruszyło.

– Moi ludzie posłużą ci jako eskorta – dodał – Pomogą ci uciec stąd jak najdalej. No już! Jedyne, co możesz zrobić, to

pamiętać o mnie.

Dierdre otarła łzę, która spłynęła jej po policzku na widok tak mocnego uczucia w oczach jej ojca. Jednak potrząsnęła głową i straciła jego rękę ze swojego ramienia.

– Nie, ojcie – powiedziała – to także moje miasto, umrę tu przy twoim–

Zanim była w stanie dokończyć zdanie, powietrze rozdarła olbrzymia eksplozja. W pierwszej chwili nie wiedziała, co się dzieje, myślała, że to kolejne dzwony, po chwili jednak zorientowała się – to ostrzał artylerii. I to nie z jednego dział, a całych setek.

Sam podmuch eksplozji wytrącił Dierdre z równowagi, rozdzierając powietrze z taką siłą, że poczuła jakby miały pęknąć jej bębny w uszach. Po chwili usłyszała wysoki wizg kul armatnich i gdy tylko wyjrzała w morze, poczuła jak zalewa ją fala paniki. Na niebie zobaczyła setki olbrzymich kul armatnich, wielkich niczym kotły, leciały wysokim łukiem, kierując się prosto na jej ukochane miasto.

Po chwili usłyszała jeszcze straszliwszy dźwięk: odgłos metalu kruszącego kamień. Powietrzem wstrząsała jedna eksplozja za drugą. Dierdre potknęła się i upadła, widząc jak wspaniałe budynki Ur, cuda architektury stojące tu od tysięcy lat, spią się wokół niczym domki z kart. Kamienne budynki o murach grubych na trzy metry, kościoły, wieże strażnicze, fortyfikacje, blanki – wszystko wokół, ku jej przerażeniu, roztrzaskiwane było w proch przez armatnie kule. Na jej oczach

rozsypanywały się w pył.

Zobaczyła prawdziwą lawinę gruzu, gdy jeden budynek po drugim walił się na ziemię.

Widok był przerażający. Tocząc się po ziemi Dierdre ujrzała jak trzydziestometrowa wieża obok zaczyna się przewracać. Nic nie mogła poradzić, tylko patrzeć bezsilnie jak setki ludzi z krzykiem przerażenia na ustach zostają zmiażdżone pod ciężarem upadającego na nich kamiennego muru.

Chwilę potem rozległa się kolejna eksplozja.

I jeszcze jedna.

I jeszcze.

Wszędzie wokół coraz więcej budynków padało pod naporem eksplozji, tysiące ludzi w jednej chwili traciło życie w deszczu pyłu i odłamków. Przez miasto niczym kamienie po wodzie przeskakiwały masywne głazy, zaś budowle obalały jedna drugą, by po chwili roztrzaskać się o ziemię. A kule armatnie nie przestawały się sypać, rozrywały jeden wspaniały budynek po drugim, obracały to pełne majestatu miasto w żalosną kupę gruzu.

Dierdre wreszcie udało się podnieść na nogi. Rozejrzała się wokół ogłuszona, dzwoniło jej w uszach; pomiędzy kłębam pyłu dostrzegła ulice wypełnione trupami i kałużami krwi, jak gdyby w mgnieniu oka całe miasto zostało wycięte w pień. Spojrzała wreszcie w morze i zobaczyła kolejną grupę tysięcy statków, tylko czekających, by zaatakować. Zorientowała się, że wszystkie ich plany były po prostu śmieszne. Ur zostało zniszczone, a statki

nawet nie przybiły do brzegu. Jak niby mają teraz użyć całej tej broni, tych wszystkich kolczastych łańcuchów?

Gdzieś z boku usłyszała jęki, spojrzała tam, by zobaczyć jednego z mężnych wojów jej ojca, człowieka, którego wspominała czule; teraz leżał konający, zmiażdżony kupą gruzu, która z pewnością przygniotłaby ją, gdyby nie potknęła się i nie upadła. Chciała ruszyć mu na pomoc – jednak powietrze zatrzęsło się rykiem kolejnej salwy armat.

I kolejnej.

Znów usłyszała charakterystyczny świst, po czym jeszcze więcej eksplozji, kolejnych kilka budynków zostało roztrzaskanych. Kopce gruzów rosły wszędzie wokół, umierało coraz więcej ludzi, a ona znów wylądowała na ziemi, znów ledwie uniknęła przygniecenia przez walący się fragment muru.

Jednak wreszcie ostrzał ucichł, co pozwoliło jej skoczyć na nogi. Morze zasłaniała teraz barykada usypana z potrzaskanych murów, była jednak pewna, że Pandezjanie są już blisko, pewno szykują się do lądowania, dlatego musieli zaprzestać bombardowania. Ogromne chmury pyłu wisiały w powietrzu, sprawiając, że wszystko wokół pograżyło się w złowieszczej ciszy, przerywanej jedynie jękami umierających, dochodzącymi ją z każdej strony. Spojrzała w bok, by zobaczyć Marco, który łkając z emocji próbował wyszarpnąć spod kamieni ciało jednego ze swych przyjaciół. Jeden rzut oka wystarczył jej, by upewnić się, że chłopak nie żyje, zmiażdżony pod osuniętą ścianą czegoś, co jeszcze przed chwilą było świątynią.

Odwróciła się, przypomniawszy sobie swoje dziewczyny, prawdziwym szokiem było dla niej zobaczyć kilka z nich także pogrzebanych pod gruzami. Jednak trzem udało się przeżyć, teraz bezskutecznie próbowały ocalić resztę.

Od strony plaży doszedł ich bojowy krzyk pandezyjskiej piechoty, nacierali właśnie na Ur. Dierdre jeszcze raz pomyślała o pomyśle swego ojca, wiedziała, że jego ludzie nadal mogli pomóc jej wymknąć się stąd. Wiedziała też, że zostać tutaj znaczy umrzeć – jednak tego właśnie chciała. Nie miała zamiaru uciekać.

Zaraz obok z gruzu podniósł się jej ojciec, na jego czole widniało paskudne rozcięcie, chwycił tylko za miecz i poprowadził swych ludzi do ataku przez kupy gruzu. Zorientowała się, że właśnie rusza na spotkanie wroga. Czekala ich walka wręcz, setki żołnierzy biegło za jego przywództwem bez cienia strachu, co jej serce po brzegi napełniało dumą.

Ona także ruszyła w ich ślady, wyciągnęła miecz i zaczęła wspinać się na potrzaskane kamienie, gotowa ramię w ramię stanąć z nimi do walki. Gdy jednak wdrapała się na górę, widok zatrzymał ją w miejscu: na plaży gęsto było od tysięcy pandezyjskich żołnierzy w żółto-niebieskich zbrojach, wszyscy biegli w stronę pagórków usypanych z gruzu. Wyglądali na świetnie wyszkolonych, doskonale uzbrojonych i wypoczętych – nie jak ludzie jej ojca, których nie było więcej jak kilka setek, uzbrojeni byli słabo, w dodatku byli już poranieni.

Wiedziała doskonale, że nie czeka ich nic więcej jak rzeź.

Jednak jej ojciec nie zawahał się nawet na chwilę. W tym momencie była z niego bardziej dumna, niż kiedykolwiek wcześniej. Stał mężnie, zebrawszy wokół swoich ludzi, wszyscy gotowi byli rzucić się w dół na spotkanie wroga, nawet jeśli na pewną śmierć. Dla niej było to ucieleśnieniem honoru i męstwa.

W ostatniej chwili, zanim ruszył przed siebie, odwrócił się jeszcze i spojrzał na nią oczyma pełnymi miłości. Pożegnalne spojrzenie, jakby wiedział doskonale, że już więcej jej nie zobaczy. Dierdre była zbita z tropu – w ręce miała miecz, gotowała się, by razem z nim ruszyć do boju. Dlaczego mieliby się żegnać, będą razem te kilka ostatnich chwil.

Nagle jednak poczuła, że z tyłu łapią ją silne ręce i unoszą do góry. Gdy odwróciła głowę zobaczyła, że trzyma ją dwóch zaufanych oficerów ojca. Oddział ich żołnierzy złapał także trzy pozostałe przy życiu dziewczyny, Marco oraz jego przyjaciół. Starła się wyswobodzić, krzyczała, jednak wszystko na nic.

– Puśćcie mnie! – wrzasnęła.

Oni jednak zignorowali jej protesty i odciągnęli ją na bok, taki musieli otrzymać rozkaz. Jej ojciec mignął jej przed oczyma ostatni raz, chwilę później ruszył ze swymi ludźmi w dół, na drugą stronę pagórka z bojowym okrzykiem na ustach.

– Ojcie! – wykrzyknęła znowu.

Czuła się rozdarta w środku. Dopiero co znalazła dla niego prawdziwy szacunek, prawdziwą miłość, a już miał zostać jej odebrany. Tak bardzo chciała do niego dołączyć. On jednak zdołał zniknąć jej już z oczu.

Chwilę później wrzucono ją na niewielką łódkę, żołnierze natychmiast zaczęli wiosłować w górę kanału, z dala od morza. Łódka kluczyła raz za razem, śmigając przez kanały, kierowała się do niewielkiego, ukrytego przejścia w jednej z bram miejskich. Przed nimi otworzył się niski, kamienny łuk, Dierdre zorientowała się natychmiast dokąd się kierują: do podziemnej rzeki. Tylko przepłyną na drugą stronę muru, a wartki nurt poniesie ich daleko od miasta. Na powierzchnię wyjdą dopiero wiele kilometrów stąd, zupełnie bezpieczni, gdzieś na wsi.

Wszystkie dziewczęta zwróciły się w jej stronę, jakby niepewne, co mają robić. Dierdre natychmiast zdecydowała. Udawała, że zgadza się na wszystko, by one nie poszły za nią. Chciała, by udało im się uciec, by były wolne od tego koszmaru.

Wyczekała więc ostatni moment i chwilę przed tym, jak wpłynęli do rzeki – wyskoczyła w wody kanału. Ku jej zaskoczeniu Marco zauważył jej ruch i także skoczył za nią. Tylko ich dwoje zostało z tyłu.

– Dierdre! – krzyknął jeden z żołnierzy jej ojca.

Wszyscy rzucili się, by ją złapać – jednak było już za późno. Wyskoczyła w doskonałej chwili, łódkę natychmiast porwał prąd, w mgnieniu oka byli już daleko.

Dierdre i Marco odwrócili się, szybko podплыnęli do porzuconej łodzi i wskoczyli na pokład. Przez chwilę siedzieli bez ruchu, ociekając wodą i patrząc sobie w oczy, obydwójce dyszeli ciężko ze zmęczenia.

Jednak ona szybko zwróciła się z powrotem tam, skąd

przybyli, ku sercu Ur, gdzie zostawiła ojca. Tam skieruje swe kroki, nigdzie indziej, nawet jeśli oznaczać to będzie miało śmierć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Merk stał przy wejściu do sekretnej komnaty, na najwyższym piętrze Wieży Ur, u jego stóp leżał martwy zdrajca, Pult, jednak dla niego liczyło się wyłącznie oślepiające światło, które sączyło się przez uchylone drzwi. Nie mógł uwierzyć w to, co tam widział.

Oto ona, święta komnata, ukryta na najlepiej chronionym piętrze, miejsce stworzone po to, by przechowywać w nim i strzec Ognistego Miecza. Na drzwiach i kamiennych murach wrzeźbione były insygnia tego reliktu. To właśnie tutaj chciał włamać się ten szpieg, by wykraść najświętszą relikwię królestwa. I gdyby nie Merk, kto wie, gdzie teraz byłby Miecz?

Merk wszedł do kamiennej komnaty o gładkich, okrągłych ścianach i zmrużył oczy, by w środku dostrzec złotą platformę, pod którą płonęła pochodnia, nad nią zaś wisiał stalowy uchwyt, doskonale dopasowany do kształtu Miecza. Jednak im dokładniej się temu przyglądał, tym czuł się bardziej zdezorientowany.

Uchwyt bowiem był zupełnie pusty.

Ze zdziwienia aż zamrugał. Czyżby złodziej zdążył go ukraść? Nie, przecież leżał martwy u jego stóp. To mogło oznaczać tylko jedno.

Ta wieża, święta Wieża Ur, była wyłącznie przynętą. Wszystko to – komnata, budynek – było jedną wielką mistyfikacją. Ognistego Miecza nigdy tutaj nie było.

Gdzie zatem mógł być?

Merk stał tam przerażony, próbując zebrać myśli. Przypomniawszy sobie wszystkie legendy otaczające ten przedmiot kultu. Wiedział, że mowa w nich była o dwóch wieżach, Wieży Ur na północno-zachodnim krańcu królestwa, i Wieży Kos w jego południowo-wschodniej części. Umieszczone po przeciwnych stronach królestwa, stanowiły dla siebie przeciwwagę. Wiedział doskonale, że tylko w jednej z nich mógł znajdować się ten skarb. Dotąd zawsze jednak myślał, że to właśnie Wieża Ur była tą właściwą. Wszyscy w królestwie tak myśleli; według legend to tutaj znajdował się Miecz, pielgrzymi obierali to właśnie miejsce za cel swych podróży. W końcu Ur leżało na stałym lądzie, stosunkowo blisko stolicy, tuż przy wielkim, starożytnym mieście. Kos natomiast znajdował się na samym końcu Diabelskiego Palca, w zapomnianym przez ludzi miejscu, na zupełnym odludziu.

Tak, Miecz musiał być w Kos.

Powoli zaczęło do niego docierać, że jest jedynym człowiekiem w całym królestwie, który znał tajemnicę, wiedział gdzie znajduje się Miecz. Nie miał pojęcia, jakie inne tajemnice, jakie skarby, kryje w sobie Wieża Ur, był jednak pewien, że Ognistego Miecza tutaj nie ma. Czuł się zagubiony. Dowiedział się czegoś, o czym nigdy nie powinien był wiedzieć: że zarówno on, jak i inni służący tu żołnierze, nie strzegli niczego wartościowego. Żaden Obserwator nie mógł nigdy się o tym dowiedzieć – niewątpliwie osłabiłoby to ich morale. W końcu,

kto chciałby strzec pustej wieży?

Teraz, kiedy Merk poznał prawdę, poczuł nieodparte pragnienie ucieczki z tego miejsca, udania się do Kos, gdzie mógłby chronić prawdziwego Miecza. Po co miałby tu zostawać i pilnować pustych ścian?

Był prostym człowiekiem, najbardziej na świecie nienawidził tajemnic i zagadek, a to wszystko przyprawiło go o niemały ból głowy i nastreściło więcej pytań, na które nie miał odpowiedzi. Kto jeszcze może o tym wiedzieć? – zastanawiał się – Obserwatorzy? Z pewnością część z nich musiała znać prawdę. Ale w takim razie jak znaleźli w sobie siłę, by przez całe życie uczestniczyć w tej mistyfikacji? Czy to była część ich praktyki? Ich święty obowiązek?

Co powinien teraz począć? Nie mógł przecież powiedzieć innym. To by ich zabiło. Co więcej, mogliby nawet mu nie uwierzyć, pomyśleć, że to on ukradł Miecz.

No i co ma zrobić ze zwłokami tego zdrajcy? Czy ten człowiek działał sam, czy może ktoś mu pomagał? Dlaczego w ogóle chciał go ukraść? Co miałby z nim zrobić?

Stał w komnacie, próbując zrozumieć to wszystko, gdy nagle z natłoku myśli wyrwał go ogłuszający dźwięk dzwonów. Był tak nagły, tak niespodziewany, że Merk przez chwilę zastanawiał się skąd pochodzi. Dopiero po chwili dotarło do niego, że dzwonnica znajduje się na szczycie wieży, nie więcej jak metr nad jego głową. Wibracje były tak silne, że cała podłoga aż drżała. Ten dźwięk mógł oznaczać tylko jedno: wojnę.

We wszystkich zakątkach wieży wybuchło zamieszanie. Zewsząd dochodziły go odgłosy ciężkich butów, jakby wszyscy dokądś biegli. Musiał sprawdzić, co się dzieje; do swoich dylematów wróci później.

Merk przeciągnął ciało z pomiędzy drzwi i zatrzasnął je za sobą. Wpadł na korytarz, gdzie zobaczył dziesiątki wojowników wbiegających po schodach, każdy z nich z mieczem w dłoni. Przez ułamek sekundy myślał, że idą po niego, lecz gdy spojrzał w górę, zorientował się, że wszyscy biegną na dach.

Dołączył do nich i już po chwili wypadł na tętniące biciem dzwonów, zimne powietrze. Podbiegł do krawędzi wieży i gdy tylko spojrzał przed siebie, jego serce zamarło. W oddali, gdzie okiem sięgnąć, całe Morze Smutku zasłane było milionami czarnych żaglowców, zmierzających ku Ur. Ich celem wydawała się jednak być nie wieża, a miasto Ur, oddalone od nich o dzień drogi. Nie ten atak był zatem przyczyną całego zamieszania. Co zatem nią było?

Gdy obejrzał się na resztę, zobaczył, że patrzą już w innym kierunku. Podążył więc za ich wzrokiem i natychmiast je dojrzał: hordy trolli wyłaniające się z gęstwin lasu. Z każdą chwilą pojawiało się ich coraz więcej, jakby armii tej nie było końca.

Setki trolli rzuciło się do natarcia z przeraźliwym rykiem. W wysoko uniesionych rękach trzymały halabardy, a w oczach błyskała im żądza krwi. Na czele biegł ich przywódca, troll zwany Wezuwiuszem, z pokraczną gębą całą wymazaną we krwi. Ich celem była wieża.

Merk szybko zorientował się, że to nie jeden z wielu ataków trolli. Wydawało się raczej jakby cały naród Mardy przedostał się do Escalonu. Ale jak udało im się minąć Płomienie? – zastanawiał się. Nie było cienia wątpliwości, że przyszli tu po Miecz. Co za ironia – pomyślał Merk – przecież miecza nawet tu nie było.

Wieża nie miała żadnych szans na przetrwanie takiej inwazji. To był ich koniec.

Merk poczuł jak w jego oczy zagląda śmierć, gdy przyglądał się, jak otacza ich wroga armia. Zebrani wokół niego wojownicy zaciskali dłonie na swych mieczach, przygotowując się do ostatecznej konfrontacji.

– ŻOŁNIERZE – wrzasnął Vicor, dowódca Merka – ZAJMIJCIE POZYCJE!

Wojownicy bezzwłocznie wykonali rozkaz, ustawiając się na murach obronnych. Merk także stanął na krawędzi i jak inni chwycił za kołczan i łuk.

Nie posiadał się z zadowolenia, gdy jedna z jego strzał trafiła trolla prosto w pierś; był jednak zaskoczony, że bestia nawet się nie potknęła, mimo że pocisk przebił go na wylot. Merk wycelował ponownie, tym razem strzała utkwiała w szyi trolla; on jednak wciąż parł do przodu. Strzelił po raz trzeci, trafiając w głowę i dopiero tym razem kreatura padła na ziemię jak długa.

Merk szybko zorientował się, że trolle nie są zwykłymi przeciwnikami, a pokonanie ich będzie graniczyło z cudem. Mimo to wystrzelił po raz kolejny, i znowu. Strzelał tak szybko,

jak tylko potrafił, zabijając tylu przeciwników, ilu tylko mógł. Niebo zasnuło się strzałami obrońców. Trolle padały jeden za drugim, utrudniając szarżę pozostałym.

Zbyt wielu jednak udało się przedrzeć. Wkrótce dotarli do grubych murów i zaczęli dobijać halabardami się do złotych wrót, próbując je wyważyć. Ich uderzenia były tak silne, że podłoga drżała mu pod stopami.

Szczęk metalu niósł się echem po okolicy, gdy naród trolli nieubłagane walił w drzwi. Merk zauważył z ulgą, że wrota jakimś cudem trzymają nawet pod takim naporem.

– Głazy! – rozkazał Vicor.

Merk zobaczył, jak inni żołnierze spieszą do ustawionych nieopodal głazów, więc i on ruszył z pomocą. Razem z grupą innych mężczyzn zdołał unieść jeden z nich nieco ponad ziemię i przetoczyć w stronę krawędzi. Napiął wszystkie mięśnie i jęcząc z wysiłku powoli podnosił głaz, aż w końcu udało im się wypchnąć ten niewiarygodny ciężar przez blanki.

Merk wychylił się razem z innymi i patrzył, jak głaz spadł, przecinając z wizgiem powietrze.

Trolle spojrzały w górę, ale było już za późno. Głaz wbił w ziemię ich karykaturalne cielska, pozostawiając po sobie ogromny krater tuż obok muru. Merk szybko ruszył do pomocy innym żołnierzom, którzy staczali głazy ze wszystkich stron, zabijając setki trolli. Od uderzeń aż trzęsła się ziemia.

Jednak one wciąż nadciągały ze wszystkich stron, wyłaniający się z odmetów lasu strumień monstrualnych pokrak wydawał się

nieskończony. Ku swemu przerażeniu, zorientował się, że kopiec głazów szybko topnieje; nie mieli już żadnych strzał, a wroga armia z każdą chwilą stawiała się coraz liczniejsza.

Merk nagle usłyszał świst tuż przy swoim uchu i gdy odwrócił głowę, zobaczył przelatującą obok włócznię. Zaskoczony spojrzał w dół, by dojrzeć tam setki trolli rzucających w ich stronę włóczniami. Był w głębokim szoku; nie miał pojęcia, jak ogromna musiała być ich siła, skoro byli w stanie dorzucić tak daleko.

W kłębiącym się u stóp wieży tłumie dostrzegł, jak Wezuwiusz posyła w powietrze swoją złotą włócznię i patrzył, jak ta szybuje wysoko, mijając go zaledwie o włos. Usłyszał jęk i odwrócił się, by zobaczyć jak jeden z jego towarzyszy broni pada martwy, dołączając tym samym do sporej grupy leżących tam już ciał.

W pewnej chwili usłyszał niepokojące dudnienie i spostrzegł nagle, jak z lasu wytacza się żelazny taran na drewnianych kołach, ciągnięty przez zastępy trolli. Tłum rozstępował się, przepuszczając potężną maszynę tuż pod złotą bramę.

– WŁÓCZNIE – zawołał Vicor.

Merk rzucił się wraz z innymi do stosu włóczni i chwycił jedną z nich, wiedząc, że to ich ostatnia linia obrony. Myślał, że zachowają je na wypadek gdyby wrogowi udało się wdrzeć do środka, jednak ta chwila najwyraźniej wymagała wyjątkowych środków. Wycelowwał zatem w Wezuwiusza, modląc się, by jego broń dosięgła celu.

Ale Wezuwiusz był szybszy niż mogło się wydawać, w ostatniej chwili odskoczył, unikając śmierci. Włócznia Merka wbiła się w udo innego trolla, raniąc go boleśnie i spowolniając tym samym podejście tarana. Widząc to, inni żołnierze również rzucili swymi włóczniami w ciągnące taran trolle, zatrzymując na chwilę morderczy korowód.

Jednak równie szybko, jak jedne padały, na ich miejsce pojawiały się dziesiątki innych, i wkrótce taran znowu toczył się do przodu. Było ich po prostu zbyt wiele. I każdego z nich można było łatwo zastąpić. Naród bezlitosnych, bezmózgich potworów.

Merk sięgnął po kolejną włócznię, jednak z przerażeniem stwierdził, że nie została już mu żadna. W tym samym momencie taran dotarł do wrót.

– NAPRZÓD! – zabrzmiał głęboki, szorstki głos Wezuwiusza.

Grupa trolli naparła z całym impetem, popychając taran do przodu. Chwilę później wieżą wstrząsnęło tak silne uderzenie, że Merk poczuł drżenie na samej górze. Wibracje przeszyły jego kostki, wywołując nieprzyjemny ból.

Uderzenia nadchodziły jedno po drugim, powodując wstrząsy tak potężne, że on i reszta ludzi aż chwiała się na nogach. Merk potknął się i upadł na innego Obserwatora, szybko orientując się, że tamten nie żyje już od jakiegoś czasu.

Usłyszał świst i poczuł podmuch wiatru i żaru, a kiedy spojrzał w górę, nie mógł uwierzyć w to, co tam zobaczył: nad głową przeleciał mu płonący głaz. Wszędzie wokół słuchać

było odgłosy wybuchów, gdy płonące kule lądowały na szczycie wieży. Merk przykucnął i wyjrzał znad krawędzi dachu, by zobaczyć w dole dziesiątki katapult wycelowanych w ich stronę. Gdzie nie spojrzał, umierali ludzie.

Kolejny płonący gład wylądował nieopodal Merka, zabijając dwóch Obserwatorów i wywołując pożar. Merk już prawie czuł płomienie na swym ciele. Rozejrzał się i zobaczył, że prawie wszyscy ludzie wokół niego są martwi. Wiedział, że nic więcej nie da się zrobić, że tutaj może czekać tylko na śmierć.

Zrozumiał, że to jego jedyna szansa. Nie miał zamiaru poddać się tak po prostu, kulić się na dachu i czekać na śmierć. Jeśli zginie, to w walce, patrząc nieprzyjacielowi w twarz, ze sztyletem w dłoni. Zabije tylu przeciwników, ilu tylko zdoła.

Wydał z siebie bojowy okrzyk, sięgnął do liny przymocowanej do kołka i bez wahania zeskoczył z krawędzi. Zsuwał się na dół z ogromną prędkością, gotowy stawić czoła swemu przeznaczeniu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kyra rozchyliła powieki i ujrzała nad sobą najpiękniejsze niebo, jakie w życiu widziała. Było w kolorze purpury, z dryfującymi po nim delikatnymi pierzastymi chmurkami, przez które przenikało rozproszone światło słoneczne. Czuła, że się kołysze, słyszała cichy plusk wody wokół siebie. Nigdy dotąd nie była równie spokojna.

Obróciła lekko głowę i z zaskoczeniem odkryła, że znajduje się na otwartym morzu, gdzieś z dala od brzegu. Ogromne fale delikatnie kołysały drewnianą tratwę w górę i w dół. Czuła się tak, jakby dryfowała w stronę horyzontu, do innego świata, innego życia. Do miejsca, którym panuje absolutny spokój. Po raz pierwszy w życiu czuła się wolna od zmartwień; jakby wszechświat zaopiekował się nią, chronił ją od wszelkiego zła.

Nagle poczuła, że w łodzi jest ktoś jeszcze, i gdy tylko się podniosła, zobaczyła siedzącą obok kobietę. Przyodziana była w białe szaty, otulona światłością, miała długie złote włosy i nieprawdopodobnie niebieskie oczy. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziała.

Nie mogła wyjść z szoku, czuła bowiem bardzo wyraźnie, że to jej matka.

– Kyro, najdroższa moja – powiedziała kobieta.

Uśmiechnęła się do niej, a uśmiech miała tak słodki, tak łagodny, że ukoić nim mogła nawet najbardziej znękaną duszę.

Jej głos przenikał ją, dawał jej poczucie bezpieczeństwa i bezwarunkowej miłości.

– Mamo – odpowiedziała.

Kobieta wyciągnęła do niej rękę, delikatną niczym płatek lilii, i złożyła ją na jej dłoni. Jej dotyk był elektryzujący, Kyra miała wrażenie, jakby przepływał między nimi strumień uzdrawiającej energii.

– Obserwowałam cię – wyszeptała – i jestem z ciebie dumna. Bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

Kyra starała się skupić, ale w czułych objęciach swej matki czuła się tak, jakby powoli opuszczała ten świat.

– Mamo, czy ja umieram?

Matka spojrzała na nią oczyma pełnymi miłości i jeszcze mocniej ścisnęła jej dłoń.

– Twój czas nadszedł, Kyro – powiedziała – Jednak, odwaga zmieniła twoje przeznaczenie. Twoja odwaga i moja miłość.

Kyra zamrugła, niepewna znaczenia jej słów.

– Czy to znaczy, że teraz mnie opuścisz?

Kyra czuła, jak matka powoli puszcza jej dłoń. Poczowała przypływ strachu, wiedziała, że odchodzi, że zniknie na zawsze. Starła się ją powstrzymać, ale ona cofnęła rękę i położyła ją na jej brzuchu. Kyra poczuła jak przepływa przez nią intensywne ciepło, miłość, która miała uzdrawiającą moc.

– Nie pozwolę ci umrzeć – wyszeptała matka – Moja miłość do ciebie jest silniejsza od wyroków losu.

Po tych słowach nagle zniknęła.

W jej miejscu pojawił się olśniewająco piękny chłopak o długich włosach i hipnotyzujących, szarych oczach. W jego spojrzeniu widziała miłość.

– Ja też nie pozwolę ci umrzeć, Kyro – zawtórował.

Pochylił się, położył dłoń na jej brzuchu, w tym samym miejscu, w którym zrobiła to jej matka i wtedy kolejny, jeszcze bardziej intensywny strumień ciepła przepłynął przez jej ciało. Ujrzała białe światło i poczuła jak wraca do niej życie.

– Kim jesteś? – zapytała załamującym się głosem.

Otulona ciepłym białym światłem, nie mogła powstrzymać powiek przed zamknięciem się.

Kim jesteś? pytanie to krążyło echem po jej głowie.

Kyra powoli otworzyła oczy, czując, jak wypełnia ją spokój. Przekonana, że wciąż znajduje się na oceanie, uniosła głowę i ku swemu zdziwieniu ujrzała tam otaczające ją drzewa. Była w lesie, na tej samej polanie, na której została ugodzona sztyletem. Gdy spojrzała w dół na swoją ranę, zobaczyła spoczywającą na jej brzuchu smukłą, bladą dłoń. Skołowana, spojrzała w górę, by zobaczyć tam te same piękne, szare oczy, które wpatrywały się w nią we śnie.

Kyle.

Kłęczał przy niej, drugą rękę położył na jej czole i wtedy poczuła, jak jej rany zasklepiają się, jak jego uzdrawiająca moc przywraca jej wolę życia. Czyżby naprawdę spotkała się z matką? Czy to wszystko wydarzyło się naprawdę? To było tak, jakby w jakiś niezrozumiały dla niej sposób matka wyrwała ją z

objąć śmierci, jakby jej przeznaczenie zostało zmienione. I jakby miłość Kyla sprowadziła ją z powrotem.

Kyra oblizwała wargi, zbyt słaba by usiąść. Chciała podziękować Kylowi, ale żadne słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

– Cichutko – powiedział, widząc jej trud, po czym pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Czy ja umrę? – w końcu udało jej się zapytać.

Po długiej chwili milczenia odezwał się miękkim, ale stanowczym głosem.

– Musisz wrócić – powiedział – Nie pozwolę ci odejść.

To było dziwne uczucie; patrząc mu w oczy, czuła się tak, jakby znała go od zawsze. Wyciągnęła rękę i chwyciła go za nadgarstek, ściskając go z wdzięcznością. Tak wiele chciała mu powiedzieć. Chciała go zapytać, dlaczego ryzykował dla niej życiem; dlaczego tak bardzo o nią dbał; dlaczego poświęcał się, by przywrócić ją do życia. Wyczuła, że poświęcił dla niej wszystko, że to, co zrobił będzie go bardzo dużo kosztować.

Przede wszystkim chciała, żeby wiedział, co teraz czuje.

Kocham cię – chciała powiedzieć.

Ale słowa utkwiły jej w gardle. Zamiast tego fala wyczerpania pokonała ją. Zamknęła oczy i mimowolnie zaczęła odpływać. Poczowała, że zapada coraz głębiej i głębiej w sen, zastanawiała się, czy znów umiera. Czyżby udało jej się wrócić tylko na chwilę? Czyżby wróciła po raz ostatni by pożegnać się z Kylem?

I gdy już miała odpłynąć na dobre, jeszcze w ostatnich

chwilach świadomości, usłyszała kilka ostatnich słów:

– *Ja ciebie też kocham.*

ROZDZIAŁ PIĄTY

Smocze dziecko desperacko walczyło o życie, ostatkami sił próbując utrzymać się w powietrzu. Leciało tak już od wielu godzin, samotne, zagubione w tym okrutnym świecie. Przez głowę przelatywały mu obrazy umierającego ojca, jak leżał tam coraz słabszy a jego wielkie oczy zamykały się, gdy żołnierze dźgali go bezlitośnie. Jego własny ojciec, którego nawet nie miał szansy poznać, z wyjątkiem tej jednej chwili chwalebnej walki; jego ojciec, który zginął, ratując mu życie.

Przy każdym uderzeniu skrzydeł, czuł się coraz bardziej winny jego śmierci. Gdyby nie próbował go ocalić, z pewnością nadal by żył.

Leciał coraz niżej, targany wyrzutami sumienia i żalem na myśl o tym, że nigdy nie będzie miał szansy podziękować mu za ten bezinteresowny akt miłości, za uratowanie mu życia. Część niego chciała odejść wraz z nim z tego świata.

Ale było w nim również coś, co nie pozwalało mu umrzeć; wściekłość, ślepa żądza zabicia wszystkich ludzi, pomszczenia ojca i zniszczenia całej ziemi. Nie wiedział dokładnie, gdzie się teraz znajduje, ale intuicja podpowiadała mu, że bardzo daleko od domu. Nawet gdyby chciał więc do niego wrócić, to i tak nie wiedziałby jak.

Latał bez celu, smagając płomieniami wierzchołki drzew i cokolwiek innego pojawiło się na jego drodze. Z każdym

uderzeniem skrzydeł stawał się coraz słabszy. Wkrótce zabrakło mu ognia i sił, by utrzymać się nad lasem. Ogarnęła go panika, gdy zorientował się, że jego skrzydła nie mogą go już dalej nieść. Co i rusz haczył o gałęzie, które otwierały jego wciąż niezagojone rany.

Mimo strasznego bólu i wycieńczenia wciąż utrzymywał się w powietrzu, nie chcąc dać za wygraną. Krew z jego ran kapłała na ziemię niczym krople deszczu. Chciał lecieć dalej, by znaleźć cel swego zniszczenia, ale poczuł, że jego powieki stają się zbyt ciężkie. Powoli zaczął odpływać w niebyt.

Smok wiedział, że umiera. W pewnym sensie czuł ulgę; już wkrótce dołączy do swego ojca.

Świadomość wróciła mu dopiero wtedy, gdy opadłszy jeszcze niżej, znalazł się nagle wśród zielonych koron drzew i objając się boleśnie o potężne konary nieuchronnie zmierzał na spotkanie ziemi.

Jednak w pewnej chwili zawisł między gałęziami, zbyt słaby, by się spomiędzy nich wyplątać. Wisiał tam bezsilny, z każdym oddechem czując, jak ucieka z niego życie. Był przekonany, że umrze tutaj w samotności, zaplątany w drzewo.

I wtedy jedna z gałęzi pękła nagle z głośnym trzaskiem, a smok znowu zaczął zsuwać się pomiędzy konarami. Leciał tak dobre piętnaście metrów, łamiąc na sobie kolejne gałęzie, aż w końcu z impetem uderzył w ziemię.

Leżał tam ledwo przytomny, żebra miał popękane, krew lała mu się z pyska. Spróbował lekko poruszyć skrzydłem, ale ból był

zbyt silny.

Czuł, jak ulatuje z niego życie, niesprawiedliwie, przedwcześnie. Łudził się, że jego życie musiało mieć jakiś cel, ale nie mógł zrozumieć jaki. Wyglądało na to, że przyszedł na świat wyłącznie po to, by przyglądać się temu, jak jego własny ojciec umiera i by samemu umrzeć w męczarniach. Może właśnie o to chodziło w życiu, o cierpienie.

Zamykając powieki po raz ostatni, w głowie miał tylko jedną myśl: *Ojcze, zaczekaj na mnie. Już wkrótce się zobaczymy.*

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Alec stał na pokładzie czarnego żaglowca i ściskając mocno poręcz obserwował horyzont, tak jak to robił od kilku już dni. Kłębiące się fale kołysały ich statkiem w górę i w dół, a on przyglądał się, jak dziób pruje spienioną tafelę wody, gdy łódź z zawrotną prędkością przemierzała ocean. Łódka pochylała się, gdy żagle wypełniał silny, stabilny wiatr. Okiem rzemieślnika Alec studiował jacht, zastanawiając się, z jakiego materiału był zrobiony; nigdy wcześniej nie widział tak niezwykłego, gładkiego tworzywa, który pozwolił im utrzymać prędkość dniem i nocą, oraz niepostrzeżenie przemknąć obok pandezyjskiej floty z Morza Smutku wprost do Morza Łez.

Alec już teraz wiedział, że nigdy nie zapomni tego rejsu; długich nocy spędzonych na nieprzyjaznych wodach i tych przerażających odgłosów dzikich stworzeń, które przyprawiały go o dreszcze. Nie raz budził się ze snu, by zobaczyć jak świetlisty wąż próbuje wślizgnąć się na łódź, a mężczyzna, z którym podróżuje, po raz kolejny zrzuca go potężnym kopniakiem z powrotem za burtę.

Jednak bardziej nawet tajemniczy od tych wszystkich morskich stworzeń, był Sovos, człowiek stojący u steru. To on znalazł go w kuźni i przyprowadził na łódź, by zabrać w jakieś odległe miejsce. Alec cały czas zastanawiał się, czy zaufać mu było w istocie dobrym pomysłem. Serce mu pękło, gdy po raz

kolejny przypomniał sobie, jak wypłynąwszy już na otwarte wody, przyglądał się bezradnie, jak flota Pandezji zbliża się do miasta Ur. Z oddali widział kule armatnie przelatujące nad murami i słyszał huk walących się budynków, tych samych budynków, w których on sam znajdował się jeszcze przed godziną. Chciał coś zrobić, zeskoczyć ze statku i płynąć im na ratunek, ale wody były zbyt wzburzone, żeby udało mu się dopłynąć. Nalegał, by Sovos zawrócił, jednak on był głuchy na jego rozpaczliwe błagania.

Myśl o przyjaciółach, których tam zostawił, o Marcu i Dierdre, sprawiała mu niewyobrażalny ból. Zamknął oczy i bezskutecznie próbował odsunąć od siebie te myśli. Targały nim wyrzuty sumienia, wiedział jak bardzo ich wszystkich zawiódł.

Jedyną rzeczą, która wciąż trzymała go przy życiu, która nie pozwalała mu zatopić się w żalu było poczucie, że jest potrzebny gdzieś indziej. Sovos przekonał go, że choć jego przeznaczeniem jest pokonanie Pandezjan, że jeśli wróci do Ur umrze razem z innymi, a to nikomu nie pomoże. Wciąż miał nadzieję i modlił się o to, żeby Marco i Dierdre przeżyli, i żeby pewnego dnia na powrót połączyli swe siły.

Ciekaw dokąd zmierzają zasypywał Sovosa pytaniami, on jednak milczał uparcie, nieustrudzony trwając przy sterze dniem i nocą. Alec ani razu nie widział go śpiącego, czy jedzącego. Wciąż tylko wpatrywał się w horyzont, ubrany w wysokie buty i czarny skórzany płaszcz, okryty peleryną z wyhaftowanymi insygniami, których Alec nie potrafił rozpoznać. Sprawiał

wrażenie, jakby rozmawiał z morzem, jakby stanowił z nim jedność.

Alec nie mógł już dłużej znieść niepewności, musiał wiedzieć, dokąd Sovos go zabiera, musiał natychmiast poznać odpowiedź.

– Dlaczego ja? – zapytał Alec, przerywając ciszę, kolejny raz próbując dowiedzieć się prawdy – Dlaczego wybrałeś mnie spośród wszystkich mieszkańców miasteczka? Dlaczego właśnie ja miałem przeżyć? Mogłeś uratować wiele innych osób, ważniejszych ode mnie.

Alec czekał, ale Sovos nadal milczał, plecami odwrócony do niego, wpatrzony w morze.

Postanowił więc spróbować czegoś innego.

– Dokąd zmierzamy? – padło kolejne pytanie – I jakim sposobem ten statek może poruszać się tak szybko? Z czego jest zrobiony?

Alec gapił się w plecy mężczyzny. Mijały długie minuty.

Wreszcie człowiek u steru potrząsnął głową, nadal zwrócony do niego plecami.

– Zmierzasz tam, gdzie czeka na ciebie twoje przeznaczenie. Wybrałem cię, ponieważ to właśnie ciebie potrzebujemy, nikogo innego.

Alec zadumał się.

– Do czego niby mnie potrzebujecie? – dopytywał się.

– Aby zniszczyć Pandezję.

– Dlaczego ja? – nadal nie mógł zrozumieć – Jak miałbym wam pomóc?

– Wszystko stanie się jasne, kiedy dotrzemy na miejsce – odpowiedział Sovos.

– Dokąd? – nalegał sfrustrowany – Moi przyjaciele są w Escalonie. Ludzie, których kocham. Dziewczyna.

– Przykro mi – westchnął Sovos – ale nikt już tam nie został. Wszystko, co kiedykolwiek znałeś i kochałeś odeszło bezpowrotnie.

Zapadła długa cisza, przerywana tylko gwałtownymi podmuchami wiatru. Alec modlił się, żeby okazało się to nieprawdą, w głębi duszy czuł jednak, że Sovos miał rację. Jak życie może zmienić się tak nagle? – zastanawiał się.

– Ty jednak żyjesz – kontynuował – i to jest bardzo cenny dar. Nie marnuj go. Możesz pomóc wielu ludziom, jeśli przejdziesz próbę.

Alec zmarszczył brwi.

– Jaką próbę? – zapytał.

Sovos wreszcie odwrócił się i wlepił w niego przenikliwe spojrzenie.

– Jeśli jesteś wybrańcem – powiedział – ciężar naszej sprawy spocznie na twoich ramionach; jeśli nie, to nie będziemy mieć z ciebie żadnego pożytku.

Chłopak starał się zrozumieć.

– Żeglujemy już od tak wielu dni, a nadal nie widać celu naszej podróży – zaobserwował Alec – Wszędzie tylko pustka. Nie widzę już nawet Escalonu na horyzoncie.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– A dokąd myślisz że płyniemy? – zapytał tajemniczo.

Wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że na północny wschód. Być może gdzieś w kierunku Mardy.

Zapatrzył się w morze rozżalony.

Sovos pokręcił lekko głową.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz, młody człowieku.

Sovos wrócił do steru, gdy kolejny szkwał pochylił łódkę jeszcze bardziej. Alec spojrzał za nim, i gdy to zrobił, po raz pierwszy od wielu dni na widnokręgu dostrzegł jakiś kształt.

Podeksytowany pobiegł na dziób i wbił w niego spojrzenie.

Ze spienionych fal bardzo powoli zaczął wyłaniać się zarys lądu. Ziemia zdawała się błyszczeć, jakby stworzona była z diamentów. Alec uniósł dłoń do oczu, zastanawiając się, co to mogło być. Co to była za wyspa? W głowie studiował mapę, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnego lądu w tych okolicach. Czyżby płynęli do kraju, o którego istnieniu nawet nie wiedział?

– Cóż to takiego? – zapytał Alec zniecierpliwiony.

Sovos odwrócił się i po raz pierwszy Alec zobaczył szeroki uśmiech na jego twarzy.

– Witaj, mój przyjacielu – powiedział – Witaj na Zaginionych Wyspach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Aidan stał przywiązany do słupa, nie mógł się poruszyć, a tylko patrzeć, jak jego ojciec klęczy kilka kroków od niego, pilnowany przez pandezyjskich żołnierzy. Stali po obu stronach z mieczami uniesionymi nad jego głową.

– NIE! – wrzasnął chłopak.

Starał się wyrwać, oswobodzić, skoczyć naprzód i uratować życie ojca, jednak jakkolwiek by się nie szarpał, jego więzy trzymały mocno, liny głęboko wpijały się w jego nadgarstki i kostki. Zmusili go, by patrzył na swego ojca na kolanach, w jego pełne łez, błagające o pomoc oczy.

– Aidanie! – wykrzyknął ojciec i wyciągnął ku niemu rękę.

– Ojcze! – chłopak odpowiedział krzykiem.

Jednak ostrza już opadały, chwilę później twarz Aidana zrosiła krew, gdy głowa jego ojca spadła z ramion.

– NIE! – wrzasnął znowu, czując jakby i z niego uciekało życie, jakby leciał w bezdenną studnię.

I obudził się dysząc ciężko, cały oblany zimnym potem. Ocknął się w ciemności, ledwie kojarząc, gdzie się znajduje.

– Ojcze! – wykrzyknął jeszcze, na wpół śpiąc, wciąż rozglądając się za nim, wciąż chcąc go ratować.

Obejrzał się wokół i poczuł coś na swej twarzy i włosach, przykrywało całe jego ciało, aż trudno było oddychać. Sięgnął w górę i ściągnął z siebie coś lekkiego, zorientował się, że leży

w kopcu siana, prawie zupełnie zagrzebany. Jednym ruchem odgarnął żdźbła z twarzy i usiadł prosto.

Było ciemno, ledwie dostrzegalny płomień pochodni migotał pomiędzy deskami; szybko zorientował się, że leży na wozie. Usłyszał obok siebie szelest, gdy spojrzał w tamtą stronę, z ulgą stwierdził, że to Biały. Wielki pies wskoczył na wóz zaraz obok niego i zabrał się za lizanie go po twarzy, Aidan uściśkał go w odpowiedzi.

Chłopiec nadal dyszał ciężko, wciąż pod wrażeniem snu, który wydawał się zbyt prawdziwy. Czy jego ojciec naprawdę został zabity? Próbował sobie przypomnieć chwilę, w której widział go po raz ostatni, na pałacowym dziedzińcu, otoczonego w zasadzce. Przypomniawszy sobie, jak chciał mu pomóc, jednak Papug porwał go stamtąd siłą. Przypomniawszy sobie, że mężczyzna położył go na tym wozie, że jechali przez boczne uliczki Andros, by uciec jak najdalej.

To wyjaśniałoby czemu siedział na tej furmance. Jednak gdzie zajechali? Dokąd Papug go zabrał?

Otworzyły się drzwi i światło pochodni oświetliło ciemne pomieszczenie. Aidan wreszcie mógł zobaczyć, gdzie się znajdują: w małym pokoju o kamiennych ścianach, nisko sklepionym suficie, wyglądało to na małą chatkę albo karczmę. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył Papuga stojącego w drzwiach, ciemna postać na tle jasnych drzwi.

– Jeśli nie przestaniesz tak krzyczeć, Pandezjanie na pewno nas znajdą – ostrzegł go.

Potem odwrócił się i wyszedł, powracając do jasno oświetlonego pokoju. Aidan zeskoczył więc szybko na ziemię i poszedł za nim z Białym przy boku. Gdy tylko wszedł do jasnego pokoju, mężczyzna prędko zamknął za nim grube, dębowe drzwi i zaryglował je kilka razy.

Rozglądał się wokół, oślepiiony jasnym światłem, aż wreszcie rozpoznał znajome twarze: towarzysze Papuga. Aktorzy. Wszyscy ci komedianci, z którymi podróżował. Byli tu wszyscy, kryli się tutaj, zaszyli w tej kamiennej karczmie o zabitych deskami oknach. Wszystkie ich twarze, jeszcze niedawno tak radosne, teraz były srogie i poważne.

– Pandezjanie panoszą się wszędzie – powiedział do niego Papug – Nie podnoś głosu.

Aidan zawstydził się, nie wiedział nawet, że krzyczał.

– Przepraszam – powiedział – Miałem koszmary.

– Wszyscy mamy koszmary – odrzekł mężczyzna – Największy koszmar mamy na jawie – dodał któryś z aktorów o ponurym wyrazie twarzy.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Aidan rozglądając się wokół ciekawie.

– W karczmie – odpowiedział Papug – W najciemniejszym zakątku Andros. Nadal jesteśmy w stolicy, choć się ukrywamy. Na zewnątrz krążą patrole Pandezjan. Przechodzili obok już wiele razy, jednak nie wpadli na to, by tu zajrzeć – musisz tylko siedzieć cicho. Tu jesteśmy bezpieczni.

– Na razie – odezwał się sceptycznie jeden z jego przyjaciół.

Aidan, wciąż czując palącą potrzebę, by pomóc ojcu, próbował przypomnieć sobie wszystko.

– Mój ojciec – powiedział – Czy on... żyje?

Papug pokręcił głową w odpowiedzi.

– Nie wiem. Gdzieś go zabrali. Ostatnio widziałem go żywym.

Aidan aż poczerwieniał z wściekłości.

– Porwałeś mnie stamtąd! – powiedział gniewnie – Nie powinieneś być tego robić. Mogłem mu przecież pomóc!

Mężczyzna potarł tylko podbródek.

– A jak niby chciałeś tego dokonać?

Aidan wzruszył ramionami, próbując coś wymyślić.

– Nie wiem – odpowiedział – Jakoś.

Papug kiwnął głową.

– Na pewno byś spróbował – zgodził się – I też leżałbyś tam martwy.

– A więc on nie żyje? – spytał chłopak.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Żył, gdy stamtąd wialiśmy – powiedział – A teraz nie wiem. Nie mamy tu żadnych przyjaciół, nie mamy już szpiegów wewnątrz miasta – zostało całkowicie zajęte przez Pandezjan. Wszyscy ludzie twojego ojca trafili do lochu. Obawiam się, że zostawiono nas samych na łasce Pandezji.

Aidan zacisnął pięści na samą myśl o tym, że jego ojciec gnije w jakiejś celi.

– Muszę go uratować – stwierdził, widząc przed sobą jasny cel – Nie mogę siedzieć tu jak mysz pod miotłą. Muszę się stąd

wydostać.

Skoczył na nogi i podbiegł do drzwi, by zacząć otwierać wszystkie rygle. Już po chwili pojawił się obok niego Papug i oparł stopę o drzwi zanim te zdążyły się otworzyć.

– Jak tylko stąd wyjdiesz – powiedział – wszyscy przypłacimy to życiem.

Aidan spojrział mu w oczy i po raz pierwszy zobaczył poważny wyraz na jego twarzy, wiedział że ma rację. Właściwie był mu wdzięczny i szanował go za uratowanie życia. Za to należała mu się wdzięczność po sam grób. Jednak mimo wszystko czuł palącą potrzebę zrobienia czegoś, by pomóc ojcu, był pewien, że liczy się każda sekunda.

– Powiedziałeś wcześniej, że jest inny sposób – przypomniał sobie – Inny sposób, by go uratować.

Papug kiwnął głową.

– Rzeczywiście – przyznał.

– Więc jak, to były tylko puste słowa? – spytał go chłopak.

Mężczyzna westchnął.

– Co proponujesz? – spytał rozdrażniony – Twój ojciec siedzi w samym sercu stolicy, w pałacowym lochu, strzeże go cała armia Pandezjan. Mamy iść tam, zapukać do drzwi?

Aidan stał nieruchomo, starając się wpaść na jakikolwiek pomysł. Wiedział, że stoi przed nim trudne zadanie.

– Na pewno jest ktoś, kto może nam pomóc – stwierdził.

– Kto taki? – odezwał się jeden z aktorów – Wszyscy ludzie lojalni twojemu ojcu zostali aresztowani razem z nim.

– Na pewno nie wszyscy – odparł Aidan – Z pewnością jest ktoś, kogo nie było na miejscu. Na przykład przywódcy warowni wiernych memu ojcu.

– Być może – Papug wzruszył ramionami – tylko gdzie ich znajdziemy?

Aidan sapnął sfrustrowany, czując jakby kajdany na rękach jego ojca także jemu krępowały ruchy.

– Nie możemy po prostu siedzieć tu *bezczyinnie* – podniósł głos – Jeśli mi nie pomożesz, pójdę sam. Nie obchodzi mnie mój los. Nie mogę siedzieć *bezczyinnie*, gdy mój ojciec gnije w więzieniu. A moi bracia... – powiedział, przypomniawszy sobie, i natychmiast zaczął płakać; na pamięć o ich śmierci zalała go fala emocji.

– Nie mam już nikogo – stwierdził.

Ale zaraz potrząsnął głową. Przypomniał sobie o siostrze, o Kyrze, modlił się, by chociaż ona była teraz bezpieczna. W końcu tylko ona mu pozostała.

Gdy tak łkał, czerwony ze wstydu, Biały podszedł do niego i oparł mu łeb o nogę. Usłyszał także ciężkie kroki dudniące po skrzypiących, drewnianych deskach, i poczuł wielką, mięsistą dłoń na swoim ramieniu.

Podniósł głowę, by zobaczyć Papuga patrzącego na niego ze współczuciem.

– Nieprawda – powiedział mężczyzna – Masz także nas. My będziemy ci teraz rodziną.

Odwrócił się i wskazał obecnych szerokim gestem, Aidan

podążył wzrokiem za jego ręką i zobaczył jak wszyscy aktorzy i artyści spoglądają na niego poważnie, kilkadziesiąt osób pokiwało wspólnie głowami, z oczyma pełnymi współczucia. Zdał sobie sprawę, że choć to nie wojownicy – to ludzie o dobrych sercach. Szanował ich za to bardzo.

– Dziękuję wam – powiedział – Ale jesteście tylko aktorami. Zaś ja potrzebuję wojowników. Nie możecie pomóc mi uwolnić mojego ojca.

Jednak w oku Papuga nagle błysnęło coś, jakby w jego głowie zakiełkował jakiś pomysł, na twarzy wykwitł mu szeroki uśmiech.

– Jesteś w wielkim błędzie, młody Aidanie – odpowiedział.

Chłopak widział doskonale ten błysk w oku mężczyzny, wiedział, że ten coś już planuje.

– Wojownicy znają się na swojej rzeczy – powiedział Papug – jednak komedianci także umieją niejedno. Wojownik wygra swą siłą – ale artysta może doprowadzić do zwycięstwa innymi sposobami, czasem nawet o wiele potężniejszymi.

– Nic nie rozumiem – stwierdził zmieszany Aidan – Nie chcecie chyba zabawiać mojego ojca w celi?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– A może właśnie – odpowiedział – to byłby doskonały pomysł.

Aidan spojrzał na niego zmieszany.

– Co masz na myśli? – spytał.

Papug potarł podbródek, wydawał się głęboko zamyślony.

– Wojownik nie będzie mógł teraz swobodnie poruszać się po stolicy – czy nawet zbliżyć się do centrum. Jednak artysta nie będzie miał z tym problemów.

Aidan nadal nic nie rozumiał.

– Dlaczego Pandezja miałyby wpuszczać artystów do samego serca stolicy? – spytał.

Papug uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nadal nie masz pojęcia w jaki sposób ten świat działa – odpowiedział – Wojownika nie wpuści się wszędzie i zawsze. Jednak artyści – ci mają dostęp do każdego miejsca, w każdej sytuacji. Wszyscy potrzebują rozrywki, tak Pandezjanie, jak i Escalończycy. W końcu wynudzony żołnierz to niesforny żołnierz, gdziekolwiek nie spojrzeć, a porządek to rzecz najważniejsza. Rozrywka to klucz do utrzymania dobrego morale swych wojsk, więc i kontrolowania armii.

Papug uśmiechnął się znowu.

– Widzisz więc, młody Aidanie – powiedział – to nie dowódcy władają swoimi armiami, a my. Zwykli komedianci. Ludzie, którymi tak bardzo gardzisz. Wznosimy się ponad zgiełk bitwy, nie obchodzą nas wojskowe blokady. Nikogo nie interesuje, jaką noszę zbroję – tylko jak dobre są moje opowieści. A mam kilka świetnych, chłopcze, lepszych, niż kiedykolwiek będzie dane ci usłyszeć.

Papug zwrócić się w stronę swoich przyjaciół i zakrzyknął:

– Wydamy przedstawienie! Wszyscy razem!

Aktorzy znajdujący się w izbie nagle krzyknęli na wiwat,

rozpromienieni, i skoczyli na nogi, nadzieja powróciła w ich przygnębione oczy.

– Wystawimy naszą sztukę w samym sercu stolicy! To będzie najlepsza rzecz, jaką ci Pandezjanie kiedykolwiek widzieli! I co najważniejsze, doskonale odwróci uwagę. A gdy nadejdzie odpowiednia chwila, gdy miasto będzie w naszych rękach, zauroczone tak wspaniałym przedstawieniem, wtedy uderzymy. I znajdziemy sposób, by uwolnić twego ojca.

Mężczyźni znów zakrzyknęli radośnie, a Aidan po raz pierwszy poczuł, jak jego serce ogrzewa świeża fala optymizmu.

– Naprawdę sądzisz, że to może się udać? – spytał.

Papug uśmiechnął się.

– Udawały się już, mój chłopcze – powiedział – o wiele bardziej szalone rzeczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Duncan próbował ignorować ból, gdy dryfował na granicy snu, oparty plecami o kamienną ścianę, jednak kajdany wrzynające się w jego nadgarstki i kostki nie pozwalały mu zasnąć. Bardziej niż czegokolwiek innego potrzebował wody. Gardło miał tak suche, że nie był w stanie przełknąć śliny, tak spękane, że nawet oddychanie sprawiało ból. Nie mógł przypomnieć sobie nawet ile to dni już minęło od czasu, gdy wziął choć łyk wody, do tego był tak słaby z głodu, że ledwie się ruszał. Wiedział, że marnieje tu w oczach, że jeśli kaci nie wezmą go prędko, głód zrobi to za nich.

Wciąż tracił i odzyskiwał świadomość, już od wielu dni, obezwładniony bólem, który powoli stawał się częścią jego samego. W głowie błyskały mu obrazy z młodości, czasu spędzonego w szerokim polu, na placach ćwiczeń, na placu boju. Przypominał sobie swoje pierwsze bitwy, czasy dawno minione, gdy Escalon był wolny i wspaniały. Te wizje jednak wciąż przerywane były widokiem jego dwóch martwych synów, którzy stawali przed nim, by go dręczyć. Rozdzierał go ból, potrzasał więc głową, bezskutecznie próbując go odpędzić.

Pomyślał o swym ostatnim synu, Aidanie, miał żarliwą nadzieję, że wciąż jest bezpieczny w Volis, że Pandezjanie nie dotarli jeszcze do niego. Potem jego myśli zwróciły się ku Kyrze. Przypominał sobie czasy, gdy była małą dziewczynką, przypominał sobie jak dumny był z tego, że może ją wychować.

Pomyślał o jej podróży przez Escalon, był ciekaw czy dotarła do Ur, czy poznała swego wuja i czy była bezpieczna. Była jego częścią, jedyną częścią, która w tej chwili się liczyła, jej bezpieczeństwo znaczyło dla niego więcej niż to, czy jest żywy. Czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy? – zastanawiał się. Tak bardzo tego chciał, lecz jednocześnie życzył sobie, by znalazła się gdzieś daleko, by uciekła od tego wszystkiego.

Drzwi celi otwarły się z trzaskiem, sprawiając, że Duncan aż podskoczył, zanim wbił oczy w mrok. W ciemności usłyszał odgłosy kroków, przysłuchując się im stwierdził, że to nie buty Enisa. Od ciągłego przebywania w mroku jego słuch poprawił się znacznie.

Gdy żołnierz zbliżył się do niego, Duncan był pewien, że chce go torturować bądź zabić. I był na to gotowy. Mogli z nim zrobić cokolwiek chcieli – w środku i tak był już martwy.

Otworzył powieki, choć ciążyły mu strasznie, i podniósł wzrok, przywołując resztki godności, które mu pozostały, by zobaczyć kto to. Z zaskoczeniem stwierdził, że widzi twarz mężczyzny, którym ze wszystkich żywych gardził najbardziej: Banta z Barris. Tego zdrajcy. Człowieka, który zabił obu jego synów.

Spoglądał na niego z nienawiścią, gdy mężczyzna podchodził bliżej z uśmiechem satysfakcji na ustach, by pochylić się w jego stronę. Zastanawiał się, co sprawiło, że ta kreatura tu przysła.

– Już nie jesteś tak potężny, prawda Duncanie? – spytał go Bant zbliżywszy się na wyciągnięcie ręki. Po czym stanął przed

nim z rękami pod boki, niski, krępy, z wąskimi ustami, oczyma jak paciorki i ospowatą twarzą.

Duncan rzucił się naprzód, chcąc rozerwać go na strzępy – jednak łańcuchy trzymały go mocno.

– Zapłacisz mi za życie moich chłopców – powiedział ściśniętym gardłem, które tak wyschło, że nie był w stanie sprawić, by słowa brzmiały wystarczająco jadownicie.

Bant zaśmiał się krótkim, prostackim okrzykiem.

– Czyżby? – zakpił – Przecież wyzioniesz ducha w tym lochu. Zabiłem twoich synów, i ciebie też mogę zabić jeśli tylko mi się spodoba. Teraz zdobyłem poparcie Pandezji, po tym jak okazałem im swą lojalność. Ale nie zabiję cię. To byłaby zbyt wielka łaska. Wolę patrzeć, jak marniejesz z dnia na dzień.

Duncan poczuł, jak zaczyna w nim kipieć blady gniew.

– Dlaczego więc przyszedłeś?

Twarz Banta pociemniała.

– Mogę przychodzić tu z dowolnego powodu – skrzywił się na więźnia – albo i bez żadnego powodu. Mogę przyjść tu po to, by popatrzeć sobie na ciebie. By się w ciebie wpatrywać. By oglądać owoce mego zwycięstwa.

Westchnął.

– Tak się jednak składa, że mam dobry powód dla tej wizyty. Chcę czegoś od ciebie. I jestem gotów oferować ci za to coś wyjątkowego.

Duncan spojrzał na niego sceptycznie.

– Twoją wolność – dodał Bant.

Duncan nadal patrzył na niego i zastanawiał się.

– Dlaczego niby miałbyś to zrobić?

Bant westchnął.

– Widzisz, Duncanie – powiedział – my wcale aż tak bardzo się nie różnimy. Obaj jesteśmy wojownikami. Tak właściwie to zawsze cię szanowałem. Twoi synowie zasłużyli na śmierć, byli lekkomyślnymi durniami. Ale ciebie – powiedział – zawsze szanowałem. Nie powinienes tu siedzieć.

Zamilkł na chwilę, by zmierzyć go wzrokiem.

– Więc słuchaj tego, co ci proponuję – ciągnął dalej – Publicznie przyznasz się do zbrodni przeciwko naszemu narodowi i zaapelujesz do wszystkich mieszkańców Andros, by poddali się pandezyjskiej władzy. Jeśli tak zrobisz, postaram się, by Pandezyja puściła cię wolno.

Duncan siedział bez ruchu, tak wściekły, że nie wiedział od czego zacząć.

– Wybrałeś rolę pandezyjskiej marionetki? – spytał wreszcie z drwiną – Starasz się im przypodobać? Pokazać im, że jesteś w stanie nakłonić mnie do działania?

Bant uśmiechnął się krzywo.

– Zrób to, Duncanie – odrzekł – Nikomu nie przydasz się zamknięty w lochu, tobie też to pożytku nie przynosi. Powiedz Najwyższemu Ra to, co chce usłyszeć, przyznaj się do winy i zawrzyj pokój dla tego miasta. Nasza stolica potrzebuje teraz pokoju, a ty jesteś jedynym, który potrafiłby go zapewnić.

Duncan zaczerpnął kilka głębokich oddechów, aż wreszcie

miał wystarczająco siły, by przemówić.

– Nigdy – odpowiedział.

Bant skrzywił się.

– Nie dla własnej wolności – Duncan ciągnął dalej – nie dla zachowania życia, za żadne skarby świata.

W końcu wpił w niego oczy, patrząc z zadowoleniem jak twarz mężczyzny czerwienieje, i dodał:

– Bądź pewien jednego: jeśli kiedykolwiek uda mi się stąd uciec, mój miecz zasmakuje twojej krwi.

Po długiej, dźwięczącej w uszach ciszy Bant stanął prosto, skrzywił się na Duncana i potrząsnął głową.

– Pożyj dla mnie jeszcze kilka dni dłużej – powiedział – bym miał szansę zobaczyć twoją egzekucję.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dierdre wiosłowała z całej siły z Marco przy drugiej burcie, ich łódka prędko przecinała wody kanału, kierując się z powrotem w stronę morza, gdzie ostatnio widziała swego ojca. Serce drżało jej z niepokoju, gdy wracała myślami do tamtej chwili. Przypominała sobie, jak odważnie atakował pandezyjską armię, pomimo ich miażdżącej przewagi. Zamknęła oczy i odegnała te obrazy potrząśnięciem głowy, po czym zaczęła wiosłować jeszcze szybciej, prosząc w modlitwie o to, by jeszcze żył. Wszystko czego sobie życzyła, to zdążyć na czas, by go uratować – lub chociaż móc umrzeć przy jego boku.

Marco wiosłował równie szybko, aż spojrzała na niego z wdzięcznością i zdumieniem.

– Dlaczego? – spytała.

Odwrócił się i odpowiedział jej spojrzeniem.

– Dlaczego skoczyłeś za mną? – nalegała.

Patrzył na nią chwilę w milczeniu, po czym odwrócił wzrok.

– Mogłeś popłynąć razem z resztą – dodała – Jednak postąpiłeś inaczej. Poszedłeś za mną.

Chłopak patrzył prosto przed siebie, wciąż wiosłując mocno, nie odezwał się ani słowem.

– Dlaczego? – nalegała, głosem zdyszany od wściekłego wiosłowania.

– Ponieważ mój przyjaciel podziwiał cię – powiedział jej

Marco – a to w zupełności mi wystarczy.

Dierdre starała się nie zwalniać ani na chwilę. Gdy pokonywali kolejne zakręty kanału, jej myśli zwróciły się ku Alecowi. Była nim bardzo rozczarowana. Porzucił ich wszystkich i wyjechał z Ur z tajemniczym nieznajomym, zaraz przed inwazją. Dlaczego? Tego mogła się tylko domyślać. Przecież był tak oddany sprawie, ciężko pracował w kuźni. Nie podejrzewała nawet, że mógłby pomyśleć o ucieczce. A jednak zrobił to, akurat wtedy, gdy był im najbardziej potrzebny.

To sprawiło, że musiała przemyśleć swoje uczucia do niego. Jednocześnie poczuła silniejszą więź z jego przyjacielem, Marco, który przecież poświęcił się dla niej. Już teraz miała wrażenie, że są ze sobą bardzo blisko. Kule armatnie wciąż świszczały im nad głowami, budynki wciąż wybuchały i waliły się wszędzie wokół; Dierdre zastanawiała się, czy Marco na pewno wie, w co się pakuje. Czy ma świadomość tego, że gdy z powrotem znajdą się w środku tego szaleństwa, nie będzie już dla nich odwrotu?

– Idziemy na śmierć, wiesz o tym – powiedziała – Mój ojciec i jego ludzie są na plaży, za gruzowiskiem. Mam zamiar odnaleźć go i stanąć do walki u jego boku.

Marco skinął głową.

– Myślisz, że wróciłem do miasta by żyć długo i szczęśliwie? – spytał – Gdybym chciał uciekać, już bym to zrobił.

Dierdre wiosłowała dalej, zadowolona i mile zaskoczona jego postawą. Kontynuowali swoją podróż w ciszy, skupiając się na omijaniu spadających odłamków i nawigowaniu w kierunku

brzegu.

Wreszcie skřęcili za róg i w oddali ujrzeli wał z gruzu, na którym po raz ostatni widziała swojego ojca – a za nim wysokie, czarne statki. Wiedziała, że po drugiej stronie rozciągała się plaża, na której walczył z Pandezjanami, wiosłowała więc z całej siły, aż pot lał się po jej twarzy, tak bardzo chciała dotrzeć do niego na czas. Słyszała odgłosy walki, przedśmiertne okrzyki męczyzn, modliła się, by nie było za późno.

Ledwie więc łódka dotknęła brzegu kanału, Dierdre wyskoczyła na ulicę, Marco skoczył zaraz za nią, po czym oboje ruszyli pędem w kierunku wału. Zaczęła wspinać się na potężne głązy, obdzierając sobie łokcie i kolana do krwi, jednak nic ją to nie obchodziło. Już ledwie dyszała, jednak wspinała się coraz wyżej, potykając się wciąż o kamienie; myślała już tylko o ojcu, o tym, że musi dotrzeć na drugą stronę, ledwie dochodziło do niej, że te kupy gruzu były jeszcze niedawno wielkimi wieżami Ur.

Obejrzała się przez ramię, gdy usłyszała jakieś krzyki, mogła stąd zobaczyć szeroką panoramę Ur: z przerażeniem ujrzała, że pół miasta leży w ruinie. Budynki były powalone, na ulicach zalegały góry gruzu, wszystko zasłonięte było obłokami pyłu. Gdzie nie spojrzała widziała mieszkańców Ur uciekających, próbujących ratować życie.

Odwróciła się z powrotem i kontynuowała wspinaczkę, ona jedna szła w tym kierunku, chcąc rzucić się w objęcia walki – a nie uciekać od niej. Wreszcie dotarła na szczyt kamiennego usypiska, a gdy wyjrzała na drugą stronę, jej serce zatrzymało się

na moment. Staęła bez ruchu, niczym zamieniona w słup soli.
Tego się nie spodziewała.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.